

Tygodnik literacki

*literaturze, sztukom pięknym i krytyce
poświęcony.*

N^o 5.

Poznań, dnia 3. Lutego.

1840.

Literatura zagraniczna.

Du crédit et de la circulation,

par Auguste Cieszkowski.

Paris, chez Treuttel et Wurtz, 1839.

(Dalszy ciąg.)

Z przytoczonych powyżej systemów kredytowych pokazało się wyraźnie, że kredyt nie zabezpiecza się kapitałami lub dochodami, które się dopiero mają okazać w przyszłości, ale zasobami, które rzeczywiście już są. Kredyt więc nie jest przekazem na przyszłość, ale odbiciem się wartości z istniejącego już kapitału. W pożyczkach nawet nie jest czém inném. Jeżeli np. bank wylicza summy na podniesienie fabryki lub rękodzielni, na zapomożenie przemysłowych; nie zabezpiecza ich na przyszłych z takiej zapomożki dochodach, ale oblicza zdatności, pracowitość dłużnika, środki i fundusze, jakie tenże ma w ręku i tylko na takie garancye wypoczycha pieniądze. W pożyczkowym więc nawet sposobie kredyt będzie upładniający, budzący zagrzęśle w niemocy kapitały do życia i wzrostu i podnoszący bogactwo narodowe.

W dwóch tylko szczególnych przypadkach kredyt może być zniszczeniem, zamiast produkcją; pożerającym przyszłość, zamiast, żeby ją miał upładniać. Robi to jednak nie kredyt, ale złe kredytu użycie. Dzieje się to raz wtenczas, gdy pożyczka zaciągnięta spożyta bez produkcji zostanie, jak np. pożyczki rządowe i prywatne, obrócone na czysty rozchód; powtórę w zbytowych spekulacjach pieniężnych, czyli agiotagiach, np. gdy bank zalicza summy na same widoki przyszłych korzyści bez żadnego rzeczywistego zapewnienia wystawionych assygnatów. Wtenczas to kursują bilety bankowe bez żadnej garancyi, jakby cienie bez ciała, samym wiatrem spekulacyi ciężarne, mogące się co chwila rozwiązać na nic. Jest to gra giełdowa we wartości urojone, narażająca kredyt na szwank, bank na bankructwo. Kredyt się nigdy na to oglądać nie powinien, co być może, ale

Rok trzeci.

na to, co jest; nigdy nie obliczać celów, ale środki. Gdzie nie ma kapitału, tam go kredyt nie stworzy; on tylko martwy ożywić potrafi, wyzwolić obciążony długiem lub zastawem: zruchościć, co dla nieruchomości bezużytecznem leżało.

Wadą więc dotychczasowego urządzenia kredytowego jest: raz, że papiery w obieg puszczane, nie dają, a częstokroć nie mają dostatecznego zabezpieczenia; powtórę, że rzeczywiste wartości funduszowe, jak np. hipoteki, listy zastawne i t. d. za mało, albo wcale nie obiegają. Z pierwszej niedogodności pochodzi zbytńia oscylacja wartości w sobie samej i spadek jej niekiedy na 50 % i niżej, z drugiej zatamowanie przemysłu. Pokazuje się zatem potrzeba nowego systemu kredytowego, co by raz na zawsze ubezpieczył, ugarantował w sobie wartość zamienną i zarazem wszelakie kapitały ruszył i skierował na drogę przemysłową.

Kapitały w dalszém tego wyrazu znaczeniu są to wszelakie zasoby kraju i jego mieszkańców, dochód przynoszące. Rzeczą więc będzie kredytowego działania, wszystkie te kapitały stałe i nieruchome ulotnić, wyzwolić, z-idealizować. Kapitał materyalny niejako oddzielić się musi od wartości swojej i tą wartością obiegać. I jak np. włość sama przez się jest kapitałem nieruchomym, przynoszącym swoje dochody; wartość tej włości, oznaczona pewnym znakiem zewnętrznym, hipoteką, listem zastawnym, będzie tym samym kapitałem, ale wyzwolonym, mogącym przechodzić z rąk do rąk i zastąpić tym środkiem sumę kursową, na jakąby kapitał ten spieniężyć potrzeba. Tym sposobem kredyt, choć rzeczywiście kapitału nie podwaja, to istotnie z jednego kapitału dwojakie ciągnie dochody. *)

*) Tu się dał autor pozorem złudzić. Ten sam kapitał dwóch osobnych dochodów rzeczywiście nie przynosi, dla tego, że jeden dochód przywiązany do osoby dłużnika, a drugi do osoby wierzyciela: mają się więc oba do siebie, jak ilość ujemna z dodatną. Kapitał zastawiony przynosi swój dochód, ale z niego musi opłacać dochód listu zastawnego i o tyle się zmniejsza. Podwójne dochody będą tylko z podwójnych kapitałów, a kapitały będą podwójne, kiedy summa na zastaw wzięta obróconą zostanie na produkcją.

Wartości idealne taką pewnością przywiązane do swoich wartości materialnych, gdyby nabrały kursu zwyczajnych pieniędzy, i były przyjmowane we wszelkich opłatach, nie potrzebowałyby być dla takiej pewności splatalne, bo nosiłyby w sobie wartość swoją, jak ją nosi pieniądz srebrny lub złoty. Przekonywamy się już o tem na listach zastawnych pruskich, które ten tylko wypowiada, lub zmienia na kurant, kto go właśnie potrzebuje, ale nie z innych jakich, system landszaftowy dotyczących okoliczności. Wypada więc ztąd, że wartości zamienne, pущzone w obieg, wychylają się z pod konieczności splacenia ich brzęczącą monetą, skoro są niejako już w zasadzie swojej splacone, to jest od rzeczywistych, materialnych swoich wartości nierozdzielne. Wartości rzeczzone tą dogodnością różniłyby się zupełnie pieniądzom kruszczowym, a połączyłyby zarazem i powab papierów publicznych, gdyby, jako wartości kredytowe, przynosiły posiadzicielowi przychód, czyli rentę. Aby to nastąpiło musiałby właściciel kapitału zastawionego opłacać procent, a pobierałby go posiadziciel wyzwołonej tegoż kapitału wartości. Na tym stanowisku kredyt nie będzie pożyczką, przekazem na zasoby przyszłości, lecz istotną tylko zamianą kapitału nieruchomego, na kapitał ruchomy.*)

Do kapitałów mogących być pущconemi w obieg w swych wartościach imiennych, należeć mogą wszelkie nieruchomości w uregulowanych hipotekach, wszelkie ruchomości zabezpieczone w assekuracjach, wszelkie zastawy, a i praca nawet, byleby pracujący zabezpieczone mieli życia swoje. Generalna więc instytucja kredytu krajowego wystawiałaby bilety kredytowe na złożone u siebie hipoteki, fanty i polisy wszelakie. Pod takim względem byłaby połączeniem banków depozytowych i cyrkulacyjnych zarazem, łącząc bezpieczeństwo pierwszych z korzyściami, jakie drugie przynoszą.

I tak dom wartujący 1000 tal. przynosi 50 rocznego dochodu, a list zastawny nań wystawiony daje także 50 tal. procentu; w takim razie tylko jeden kapitał i jeden jest przychód. Ale gdyby ten list zastawny obrócony w handel, przemysł i t. d. przyniósł w roku 150 tal. dochodu, więc powstał za pomocą z-idealizowanego kapitału nowy dochód 100 talarowy, odpowiedni rzeczywistemu kapitałowi 2000 tal.

*) Pożyczka prawda nie wypełnia rozległego znaczenia kredytu, wchodzi jednakże w skład jego, jako istotna kredytu cząstka. Gdzie tylko jeden opłaca procent z kapitału, a drugi go pobiera, tam jest dłużnik i wierzyciel, tam jest pożyczka. Rzecz byłaby zatem, że pożyczka jest pierwiastkową kredytu funkcyjną, i z niej dopiero rozleglejsze sporządzano kredytu pożytki, i z papierów kredytowych, to jest rzeczywistych długów, zrobiono surrogat monety bieżącej i przychód procentowy. Ta korzyść atoli kredytu jest widoczna, że materialny kapitał swą wartość w obieg posła. Te same korzyści przyniosły już listy zastawne, i spodziewać się należy, że raz zaprowadzona landszafta nigdy już nie upadnie, i po wyjęciu lat amortyzacyjnych nowa zaciągnięta będzie.

Dotąd dwa tylko znamy gatunki kapitałów pieniężnych, to jest: pieniądz brzęczący lub papierowy, i papiery publiczne. Pieniądz sam przez się jest kapitałem martwym i przynosi dopiero dochód, gdy go kapitalista odda w inne ręce na procent, albo na spekulacye handlu i przemysłu; przeciwnie papiery publiczne same przez się przynoszą dochód; skoro się ich posiadziciel pozbywa, pozbywa się z kapitałem i dochodu razem. Pieniądz więc obiegać powinien, papier spoczywać nieużyty, aby właścicielowi dochód przynosił. Pieniądz nosi wartość sam w sobie, i dla tego nie jest splatalny; papier publiczny jest tylko znakiem wartości, która dla tego winna być splaconą. Gdyby zatem zaprowadzono nowy gatunek cyrkulacji, co by nie tylko był znakiem, ale i wartością samą, dla zupełnego reprezentowanej wartości bezpieczeństwa, co by dalej miał kurs monety i przynosił procent, zaradziłoby się wytkniętym co dopiero niedogodnościom dotychczasowych kapitałów pieniężnych.

Taki gatunek cyrkulacji nazywa autor biletami przychodowymi (billets à rentes). Są to assygnacje na wszelakie kapitały, o których wyżej namieniliśmy, wystawione niżej ich rzeczywistej wartości, przynoszące procent z każdym dniem rosnący i powiększający o tyle kapitał assygnowany, przyjmowane we wszystkich opłatach tak rządowych jak prywatnych, wychodzące pod garancją generalnego instytutu kredytowego, będącego wydziałem administracyi państwa. Bilety takie mają tę korzyść, iż przynoszą przychód złożony. I tak np., kto sprzeda towaru za 1000 tal. i zyskał na tej sprzedaży 50, a odebrał nie kurant, ale bilet rentowy na 1000 tal., przynoszący np. 40 tal. procentu; zyskał w końcu roku od dnia sprzedaży 50 + 40, w ćwierć roku 50 + 10, w miesiąc 50 + 3 $\frac{1}{3}$, i tak dalej, według tego, czy prędzej, czy później wyda znowu w kurs wziętą za towar assygnację.*)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Improwizacja.

Boskiem natchnieniem duch w przyszłość tętnie,
Świętém wspomnieniem w przeszłości śnie.

*) Korzyść taka tylko jest względna: raz dla tego, że nie mnoży bogactwa narodowego w ogólności, bo co posiadziciel biletu na przychodzie z procentu zyskuje, to posiadziciel zastawu opłacać musi; powtóre, że ceny targowe według owej pewności przychodu złożonego stanowią się będą. Bo kupiec, co towaru za kurant od 100 Tal. sprzedać nie może, przeda go za 96, 98, 99 i t. d., gdy weźmie bilet rentowy, który mu procentem stratę na kapitale wynagrodzi.

To świat mój własny! myślą mu świecę,
A pieśni równianką kwiecę!

Jakże gwiazdzista moja dziedzina!
Promienne myśli błyszczą mi jasno,
A każda świeci swą iskrą własną,
Ta srebrną szatą przeszłość opina,
Tamta przyszłości, dzierzga złotą tkanę;
Przeszłość mi matką — przyszłość mam kochankę.

I dwie miłości w jednym żywię lonie,
Dzierzę je w obie dłonie!
Patrzenie! w tej święty popiół, a w tej iskra plonie.
Patrzenie w me lica,
Jedna okiem zachwytu iskrzy się żrenica,
A druga świętą łzą płynie!

O bracia! w mojej byliścież dziedzinie?
O! zstapcie tylko w serce waszych głębie,
Spytajcie o przeszłe dnie,
Spomnijcie o waszym śnie,
Poznacie was! poznacie mnie! —

F. Ż.

Dzwonek Kapucynów.

(Wspomnienie.)

O! dzwonku ulubiony, — tak pełne uroku
Są dla mnie dźwięki twoje! — czyli to o zmroku,
Kiedy w szarą godzinę tęskną myśl rozmarzę,
Czyli to w noc miesięczną, czy o jasnym świetle,
Kiedy smutny z uczuciem i naturą gwarzę, —
I ze łzą na żrenicy patrzę w przyszłe życie,
A ty wtedy zadzwonisz, — ach! jakże radośnie
Przypomni sobie serce o minionej wiosnie,
O całym młodym życiu! — bo przez młodość całą
Słuchałem ciebie co dnia, — a pierwszy raz w życiu,
Kiedym dzieckiem pokochał był dziewczynkę małą,
Tyś swym dźwiękiem wtórował mego serca biciu!
I co dnia, co dnia dzwonku tyś duszę upieścił,
Ukolysał, rozmarzył, o szczęściu jej wieścił! . . .

* * * *

Tu, pod tą starą gruszą bawiły się dzieci, —
A pod gruszą darnina jak ołtarz w kościele,
A na gruszy obrazek Matki Boskiej świeci,
Spodem, kwitną bzu krzaki i fiołków wiele
I jedna z dziewcząt księżda w stule udawała,
A druga była družką, — najładniejsza z grona
Dziewczynka była wtedy moja rzeczona,
I z bukietem przy boku dziecku ślubowała. —
I wtedy nad mą głową dzwonek Kapucynów
Dzwonił piosnkę anielską, piosnkę Serafinów!
Dźwięk ten został w mej duszy, jak w róży kielichu
Eza poranku, jak rozkosz po szczęściu uśmiechu.
Chociaż wszystko przebrzmiało jak dzwonu poddźwięki,
I blaski młodocianej pogasły jutrenki! . . .

* * * *

Potem, gdy pierwszą dla Niej piosenkę zanucił,
Po mych łakach rodzinnych biegałem wesół,
Jak gdybym jaki ciężar z mego serca zrzucił,
I szczyłem się z pieśni między przyjaciół.

Ach! i wtedy ty dzwonku do mych zwrotek smutnych
Gralesz muzykę, jakby do psalmów pokutnych.
I w noc cichą wiosenną z moich uczuć lutni
Choć poruszyłeś stronę, choć brzękła najsmutni,
Przecież głosem nadziei! . . .

* * * *

Czy to w wiatru szumie,
Co targal liście z drzewa, czy w gromie obłoku,
Czy to w silniejszej burzy w sercu i rozumie,
Tak paląc, że lzy mi wysuszyła w oku,
Koily nie twe dźwięki, — gdy usłyszałem ciebie,
Łzy trysnęły do oczu! — i znowu na niebie
Widziałem jutrznią szczęścia, i znowu jak dziecię
Wyciągałem me dłonie po uroczę kwiecie
Minionego dzieciństwa, — terazniejszość całą
Smutna — jalowa — w twoich dźwiękach się rozlała! —

* * * *

Dzisiaj, ile razy
Słyszę ciebie, przeszłości przywołam obrazy.
I jestem tak szczęśliwy przez chwilę maleńką,
Jakbym znowu się z pierwszą obaczył jutrenką.
A dusza zachwycona wianek uczuć spleta,
Jak gdyby wśród muzyki najpiękniejszej świata.
O! dzwonku ulubiony, gdy przez życia wiosnę,
Gralesz przez wszystkie smutki, przez chwile radosne,
Kiedym nieba spragniony darmo lzy wyciskał,
I tylko twoją dzwonku wzajemność pozyskał, —
Zadzwonił mi przy skonanu, zadzwonił nad mogiłą,
Twa pieśń tak znana sercu, uroczą i miłą! . . .

Kraków, dnia 2. Stycznia 1840.

E. W.

O filozofii przedmiotowej.

(Ciąg dalszy.)

Niedostateczność empiryi, wyżej wskazana, ku zadowoleniu filozofującej myśli, wywołała z jednej strony sceptycyzm, z drugiej idealizm, robiące przejście do innego rodzaju filozofii przedmiotowej. Hume stał się reprezentantem pierwszej, tej tu szkoła filozofów niemieckich, poczynawszy od Jakobiego do Schellinga. Filozofią wątpienia krótko i trafnie odcechował wydawca Haliczanina p. Walenty Ghlędowski w rozprawie swojej o filozofii; słowa jego dla tego tu przytaczamy: »Przeciw sceptyce staje z całą potęgą przemocy uczucie rzeczywistości bezpośredniego wiedzenia, które, jakoby wrodzonym pociągim, ducha ludzkiego z tą rzeczywistością wiąże, i zapewnia go, że jak on sam w sobie jest rzeczywistym jestestwem, tak rzeczywisty i ten świat, który go otacza. Wątpiwić, jakkolwiek najpewniejszy swoich sceptycznych, spekulacyjnie niezbitych dowodów, niech rzuci okiem w ten świat, w to życie przed sobą, w którym i on także działa i cierpi: już się pokonały same, nikną przemownym zwyciężone uczuciem. Ufa świadomości własnej,

czuje dźwięk swojej z całą naturą zgodności, i uznać musi, iż sam jako cząstka wchodzi w tę nieskończoną całość. Tak, lubo ztąd filozoficznie innego przekonania nie wziął, poznaje wszakże, iż tém mniej może mu wystarczać owa przeczna, polemiczna nauka, która, jakkolwiek często duchem przywoływana, zawsze, jak cień, jak mrzonka, ginie przed wrażeniem rzeczywistości, pełnej oczywistego życia.

Idealizm — filozofia, z odrzuceniem doświadczenia przez samo myślenie dochodząca prawdy, — do najwyższego doszedł stopnia, w altetycznym, co do myśli, systemie Fichtego. Myśl człowieka, osobowa, nie tylko jest miarą wszelakiej rzeczywistości, ale wszystko zarazem o tyle tylko istnieje, o ile staje się myślą człowieka. Z tej wysokości podmiotowego stanowiska, z którego nie dojrzeć już było śladu rzeczywistych postaci, musiała filozofia znowu wrócić do rzeczywistości, do natury. Schelling, professor uniwersytetu i prezes akademii w Monachium, zrobił to przejście, gdy myśl podmiotową Fichtego w przyrodzie ukazał. Duch, jako *intelligencya*, jest podniętą tworzenia się natury; wewnętrzne więc tworów podścieliska, których zmysłami nikt nie docieka, są tej *intelligencyi* wypływy, myśli. Natura ma siłę twórczą i wyrabia się ciągle z siebie, ale że jest *intelligencyą*, nie przyszłoby tą drogą do pojawu, do tworu, gdyby w naturze drugiej nie było siły przeciwniej, o którą się pierwsza fundamentała dwójnia sił, rozstępująca się w każdym pojedyńczym utworze na dwa przeciwległe bieguny. Rozdrabniając np. magnes na dowolną ilość cząstek, w każdej dostrzeżemy ów rozstępną siłę magnesową na biegun południowy i północny. Natura w nieustannych przeobrażeniach zdąża do coraz większej doskonałości; przez nieorganizm do organizmu, przez organizm do człowieka, w którym przychodzi do poznania siebie. W człowieku więc złożona przez naturę świadomość natury; tym tylko sposobem na odwrót, on ją poznawać może. Jest to węzeł wiedzy ludzkiej podmiotowej z przedmiotowością *intelligencyi*. Materya, tworzywo tworów, nie mające jeszcze ni postaci, ni kształtu, ni farby, jest pierwszym stopniem pojawu; rozlewa się na zewnątrz przez siłę rozlegającą się, i prze o przeciwną siłę skupienia, zsierdzenia się. Ciężkość, atrakcyja ku środkowi, jest tej zapory, a razem ciał nieorganicznych znamieniem. Materya siłą rozlegania się przemaga przeciwbiegunową atrakcyją, znika ciężkość i pojawia się światło. Wnosi ztąd Schelling, że fałszywą jest teoria Newtona, rozkładająca promień biały na tęcz różnobarbną: są to skutki połączenia się światła z ciemnością, z ciałem stałym;

ono zaś samo jest niezłożone. Nakoniec, gdy światło przeniknie twór nieorganiczny, wystąpi ciepło, potęga pokonywająca materyą, podstawa organicznego życia. — Oto szkielet głównych kości systemu Schellinga, przeprowadził go genialny autor z równą głębokością myśli, jak przyborem zachwyconej wyobraźni. Jest to jakby zamek czarowny, płonący w płomieniach rozlicznego światła, jak jasna luna myśli, wśród cieniów nocy szeroko rozświetlająca przyrody śliczne oblicze. W jego filozofii natury myśl ośwładnęła materyą, ale nie już jako myśl podmiotowa człowieka, lecz jako *intelligencya* w całej naturze przedmiotowa; trzeba więc znać materyalną stronę natury, ażeby duchową odgadnąć. W tym ożenku filozofii z naturą leży wielki postęp. Wszystkie odnogi nauk przyrodzonych, tak długo między sobą i z filozofią w rozejmie trzymane, ujrzały się na raz w ścisłym z sobą związku, i ożyły myślą filozoficzną.

Do upowszechnienia w pośród nas przedmiotowej filozofii Schellinga, dwóch przedewszystkiem brak żywiołów, których ona właśnie jest zlewkiem: rozległej uprawy nauk przyrodzonych, mianowicie w fizyologicznych ich częściach, tam, gdzie niejako tykamy granic ducha; powtóre spekulacyi metafizycznej, która tu jeszcze idzie przed doświadczeniem. Jeżeli wiadomości naturalne w wypadkach swoich i odkryciach, jako coś zewnętrznego, łatwo poznać, przenieść i przyswoić się dadzą; to przeciwnie spekulacya, że do głębi ducha wnika, tam tylko do przekonania naszego zaczepić się może. Ku tej więc stronie, w sferę samodzielnego myślenia, władze umysłu wprzodki skierować należało.

Najwyższym szczytem przedmiotowej spekulacyjnej filozofii jest Hegel. Rys jego systemu wystawił nam p. Józef Kremer w zeszytach *Kwartalnika naukowego*, kreśląc go mistrzowską ręką, piórem maczanym w wysokim pomysłów zachwycie, i dla tego tak strojną myślą, tak szczytnym językiem. My damy tylko farb kilka ku odcienieniu tego systemu charakterystyki. I Hegel, jak Schelling, myślą szuka myśli zewnątrz siebie, lecz znajduje ją w rozleglejszym, głębszym pojęciu. On w naturze ją docieka, ale tylko jako ucieleśnioną poznaje; owa *intelligencya* zanim się w tworzywo wyobraziła, jest sama czemś istniejącym i żywym, bo wszelakiemu istnieniu i życiu byt nadaje; jest jak światło w czczości duchowej; a dopiero jednia oniej czczości i pojawnego zapełnienia przez świat, w wynikłej ztąd doskonałości wiedzy, jest duchem, Bogiem żywym, w tajemnicy Trójcy, według religii nowego przymierza pojętym. Z niej Hegel wypatrzył treść filozofii swojej. Trójca jako prawda w najwyższej doskonałości poję-

cia, już dla tego przez mgłę zapadłych wieków przebija się; jakoto w owym głębokiem znaczeniu, jakie Pytagoras i jego szkoła liczbie trzy nadawali; w owiej ciemnej dryadzie Platona, owych trzech kreskach filozofii chińskiej, w troistości bóstw indyjskich, Szywa, Wysznu i Brama. — Logika Hegla i metafizyka zarazem, rozwija nasamprzód myśl odrębną, nie jako podmiotową w osobie myślącego, ale jako przedmiotową, niezawisły byt mającą. Jest to idea, duch uważany w odwiecznej istocie swojej, przed początkiem wieków, przed stworzeniem świata i ludzi, który ani się rodzi, ani pochodzi. Ta idea pełna życia dąży z czczości do pojawu, i uzewnętrznia się tworzywem w różnych od razu doskonałości stopniach. Wskazanie tego uzewnętrznienia się, tej materyjalnej sukni myśli, przez wszystkie momenta logiczne, jest przedmiotem Hegla filozofii natury. Jest to idea wcielona, słowo, które się ciałem stało. Nareszcie wiedzenie się idei w naturze i nawzajem natury w idei, owo tchnienie wzajemnej miłości, jest ideą w zupełnej potędze życia czyli duchem, którego pojawu we wszystkich stopniach wykrywa filozofia ducha. — Myśl zatem jest wewnętrzną istotą Boga, natura Jego zewnętrzną szatą, objawieniem się Jego, wiedza duchowa w ludziach. Geniuse we wszystkich rodzajach dzieł, sztuk i nauk, są jak Serafiny i Cherubiny, otaczające tron majestatu Jego.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

**Bądźcie prostodusznymi, jako gołębie,
a chytrymi, jako węże.**

Powieść Gustawa Ehrenberga.

(*Dalszy ciąg.*)

III.

— Ktoś ty? —

— Lukrecy, Lewiatan,
Voltaire, legio sum. —

A. M.

Drogą od Nowego Sącza konno obok siebie zmierzali dwaj młodzieńcy. Jakkolwiek na pierwszy rzut oka uderzała odmiennosc ich fizyonomii, przecież, kto tylko zna Galicyę, od razu by poznał, że nie należeli do błogosławionego, pijackiego, barczystego i zawadyjackiego Sandeczan plemienia. Jeden z nich niski, chudy, czarno zarosły, ospowaty, dość niedbale ubrany, nader przenikliwie miał oczy, a w ustach jego przebiegał się wyraz szyderstwa, czy dziwactwa. Drugi, cokolwiek młodszy, przystojniejszy, prawie niewieście miał rysy. Dobroć serca, czułość duszy, szlachetność uczuć malowały się w jego twarzy obok widocznego braku ener-

gii i męskiego hartu. Nie dziw, że przy tak różnych skłonnościach poufała przyjaźń zdawała się ich ożywiać, bo przyjaźń i miłość lubią sprzeczności, a harmonia tam tylko być może, gdzie się kontrast znajduje. Żywą prowadzili rozmowę. Czym ją tajemnie wysłuchał, czy z powieści wiem o niej, czym ją przeczuł, czy zmyślił, mniejsza o to. — „Karolu, prawdziwie, twój system mnie zastrasza.“ — „Bo też ciebie każda myśl śmiała zastrasza. Nie możesz do tego przywyknąć, że, nie tylko w teorii, ale i w praktycznym życiu trzeba wykorzeniać, wyrwać, ścinać, by plon bujniejszy otrzymać. Wiesz dobrze: Quae medicamenta non sanant, ferrum sanat, quae ferrum non sanat, ignis sanat.“ *) — „Jakto, czyliż ci się podobne ostateczności podobają? wszakżeś zawsze był ludzkim.“ — „I właśnie dla tego, że jestem ludzkim, lubię ostateczności. Bo nie półśrodki, nie czcze słowa, ale właśnie ostateczności są żywiołem życia ludzkiego.“ — „Zresztą przypuszczam, że podobny system na większą skalę mógłby być skutecznym. Ależ zmiłuj się, w życiu prywatnym, w domowym pożyciu, czyliż godzi nam się dla jakichś teoryj zakłócać cudzą spokojność i szczęście. Wolnoż nam samowolnie niszczyć i targać najświętsze związki? Uważaj, że, jeżeli w życiu publicznym trzeba działać, to w prywatnych stósunkach możemy przestać na łagodnych namowach. Zresztą czas, opinia, dążność wieku, wszystko powoli naprawią.“ — „Tak, — spuszcza się na łagodność, na namowy. Wyjeżdżaj z retoryki i malowaniami słówkami. Wiatr twoje słowa rozniesie, niechcąc je wyszydzi, niepamięć pogrzebie, a twojej pracy ni śladu nie zostanie. Czas, opinia, dążność, piękne to rzeczy, — ale czas, opinia, dążność nie same nie zrobią, jeżeli ich napróżd nie popchniemy.“ — „Przynajmniej ta uwaga powinna cię wstrzymać, że dużo trzeba czasu i bardzo bystrego rozsądku, by z zimną krwią ocenić, o ile czyje życie, zdania, czynności naganne mi być mogą. — Zresztą nikt nie jest bez błędu, i dla tego tém wyrozumialszymi na błędy innych być powinniśmy. Zkądże my ułomni ludzie, moglibyśmy samowolnie przywłaszczać sobie prawo sądenia, karcenia ludzi, których ułomności może nie są większe od naszych. Odmieniać bieg wypadków, absolutnie mieszać się w cudze sprawy, dowolny im nadawać kierunek, — rozrywać to, co zwyczajem związały, jednoczyć najsprzecznniejsze żywioły, byłoby szczytem okrucieństwa i nierozumu.“ — „Dziecinne skrupuły, zupełnie dziecinne.

*) Czego lekarstwa nie wyleczą, żelazo wyleczy, — czego żelazo nie wyleczy, ogień wyleczy. Z Hippokratesa, — godło, które Szyller położył na czele tragedji: Rozbójnicy (die Räuber).

Adolfie, krótkowidzący człowiecze, ty rozkładasz czynności ludzkie na miesiące, lata i wieki. Nie wiesz, że energiczny człowiek jest na tej ziemi żywym obrazem zemsty i opatrności Boga. Za jednym rzutem oka poznać wszystkie skłonności i chęci, wybadać najskrytsze myśli, wcisnąć się w głąb serca, bieg wypadków uczynić podległym niezłomnej woli swojej, gwałtem wrzucić ludzi w to właśnie stanowisko, które każdy z nich zajmować powinien, oto jest powołanie i przeznaczenie energicznego człowieka. — »Dziwny człowiecze!« rzekł Adolf, zaciął konia i podjechał naprzód.

Po chwili milczenia Karol zbliżył się ku niemu — »Cóż myślisz, Adolfie, gdybym dziś naprzykład widział kobietę, którą w brew jej skłonności wydano za męża, gdyby ta kobieta była przekonana, że przy mnie prawdziwsze znajdzie szczęście, gdybym i ja czuł ku niej miłość, czyżby nie było moim obowiązkiem zmienić, jak powiadasz, bieg wypadków, zerwać jej związki z niekochanym człowiekiem i przycisnąć ją do mego łona? Tak, zaiste, — byłoby to moim obowiązkiem, i takbym bez wątpienia uczynił.« — Adolf ruszył ramionami i rzekł: »Prawdziwie, gdybym cię nie znał od dzieciństwa, myślałbym, że szatan wcielił się w ciebie, szatańskie masz myśli, szatańskie spojrzenie, szatańską mowę.« — Karol rozśmiał się. — Znowu milczenie.

Wieczór zbliżał się, w dali bieleł się dwór. Karol spytał się przechodzącego wieśniaka o dziedzica wioski. Wieśniak powiedział mu jego nazwisko. — »Wprawdzie nie znam tego domu, ale to nic nie szkodzi, konie zmęczone, myśmy także znużeni, spodziewam się, że nas tam przenocują.« — Znowu milczenie.

»Adolfie,« rzekł Karol po chwili, »jak ci się Paliwoda podobał?« — »Zwyczajnie, szlachcic galicyjski.« — »I nic więcej? nie odgadnąłeś jego myśli, nie wiesz, jakie ma zamiary?« — Adolf spojrzał mu w oczy i rzekł poważnie: »Nie jestem ani Bogiem, ani szatanem.« — Karol się uśmiechnął. — Jechali dalej w milczeniu.

IV.

Jak częstować a nie pić?
Krasicki.

Uczta u sercunia; uczta staropolska, uczta galicyjska, gdzie więcej napoju niż jadła. Stara szlachta szpakowata, czubiasta, wąsata, wychylała puhary jedne po drugich, zaprawiając węgryzna wypłowiałymi łacińskimi konceptami, których się u Jezuitów nauczyła. Czasem też była mowa o cenie zboża, o złych czasach, o upadku browarów i propinacji i t. d. Młodzież ubrana w czamarki śmiało się mogła pochłubić, że od swoich przodków bynajmniej się nie wyrodziła. Rzęsiste kie-

liszki nie wielki sprawiały skutek, dodawały tylko wesołości i snadniejszej ku wszystkiemu ochoty. Tam dopiero można się było nasłuchać rozpraw i przechwałek o koniach, psach, łowach, pojedynkach i odpustowych przygodach. Wśród tej całej młodzieży dwaj tylko byli frackowi jegomoście, Karol i Adolf. Na Adolfa mało zważano, a że pił niewiele, obwołano go frycem; — siadł też w kącie i dumał. Karol od razu pozyskał sobie powszechną przychylność, pił nie źle, bawił młodzież gadkami, starym umiejętnie o gospodarstwie rozповідаł, damom prawil grzeczności. Adolf mocno się dziwił, widząc tak nagłą w przyjacielu przemianę i oczom swoim nie wierzył.

W innej części sali siedziały stare matrony, pocieszały się wspomnieniem lat dawnych, gadały o genealogiach i koligacjach, a rodowód każdego z przytomnych wyliczały na palcach.

Młodych kobiet było nie wiele. Oprócz Konstaney i panny Giertrudy, które już znamy, było kilka mężatek ni młodych, ni starych, i kilka panien na wydaniu, mniej więcej powabnych.

Pan Paliwoda pił najwięcej, ale na nim nie było znać tego. Siedział rozparty na sofie i dwuznacznie się uśmiechnął z pod długiego wąsa. Pan Paliwoda, znany na cały cyrkuł, miał lat trzydzieści kilka. Smutki, czy rozpusta zawczasie ołysły mu głowę. Gracz zapamiętały, stracił większą część puścizny, rozpustnik, zuchwalec, pełno go było po wszystkich jarmarkach i odpustach. Zająć komu w drogę, o lada fraszkę rąbać się krzyżową sztuką, umyślnie szukać zwady, — uwieść łatwowierne kobiety, a potem je wyśmiać, niczem było dla niego. Po sądach jego imię z dawna było głośnem. Ale że dobrym był strzelcem, wesołym towarzyszem, spowinowacony przytęm z wielu okolicznymi domami, wszędzie miał przystęp, a nawet dosyć chętnie go przyjmowano. Pomimo roztrwonienia znacznego niegdyś majątku posiadał jeszcze piękną wioskę, którąby zapewne nie jedna sąsiedzka piękność wcale nie pogardziła. Zresztą dobra żona, myślano sobie, potrafi męża usatkować i poprawić jego zdrożności. Nie darmo też panna Giertruda bardzo czułe spojrzenia ku panu Paliwodzie zwracała, ale on zdawał się myśleć o czem inném.

Od niejakiego czasu Karol zasiadł obok pana Paliwody, i snąc wielką zgodność humorów między nimi być musiała, bo żwawą a cichą prowadzili rozmowę, głośnym śmiechem przeplataną, z której tylko kiedy niekiedy małe ułamki do uszu innych gości dolatywać mogły: — »A, to wściekły zakład, na honor! Jednakże skutki....« — »Co skutki? cóż znaczą skutki? czy po trzeźwemu, czy nie, — dość, żem się założył i mu-

sze swego dopiąć. Tu o mój honor idzie. Tak chcę, tak być musi!" — "Ależ trudności nie mało, — a co kłopotów potem!" — "Ktoby zwał na czyje dąsania i fochy? Gotowem się i z tobą także założyć, czy do jutra nie uskutecznię tego, co zamierzam. Wiem o najdrobniejszych okolicznościach, plan mam gotowy. A że tam w końcu przyjdzie do zwady i bitki, to i lepiej; już mi się przykrzy spokojne życie. Przyjacielu, polegam na twoim honorze, że mnie nie zdradzisz." — Karol odpowiedział ściśnięciem ręki.

Adolfowi cięło się w oczach; Kocia go zaczarowała. — Wkrótce zaczęły się tańce. Starzy z matronami ruszyli w polskiego; potem młodzież do mazura skoczyła; potem walc. Adolf tańczył z Kocią, Karol z panną Giertradą. Śród lubieżnego walca wiele rzeczy da się powiedzieć, którychbyśmy przy uczcie albo w poważnej salonowej konwersacji wymówić nie śmieli. Taniec żywiej zrumienił twarz Koci, Adolf był pijany walcem i uczuciem. Rozmowa była żywa, krótka, wirująca tak jak walc. Adolf wspominał o gościach i szlachcie Sandeckiej. — Kocia bardzo satyrycznie i dowcipnie ich wyszydzała, — Adolf jej prawil grzeczności, Kocia się uśmiechała, — Adolf mówił o niewoli kobiet, Kocia wzdychała.

Po tańcu Adolf siadł w swoim kąci, ochłodził nieco: Ta kobieta, mówił sam do siebie, jest czarującym, anielskim stworzeniem. Jakże ona nieszczęśliwą być musi z tym starym opilcem, którego serce żadnym już szlachetnym uczuciom przystępu dać nie może. Biedna kobieta! Ależ ten Karol! on co przed kilku godzinami tak surowym był moralistą, — teraz się bawi w najlepsze, śmieje się, rozprawia z Paliwodą, i.... — a to co znowu? cóż to ma się znaczyć?

Adolf miał się czemu dziwić; właśnie, gdy zastanawiał się nad dziwacznym postępowaniem swego przyjaciela, Kocia przeszła mimo Karola i bystre nań spojrzenie rzuciła. Karol odpowiedział jej uśmiechem, Kocia się także uśmiechnęła i tajemniczo palec położyła na ustach. Tę pantomimiczną rozmowę jeden tylko Adolf uważał. Dziwnie! oznaka takiej poufałości, takiego porozumienia się, a przecież Karol nigdy nie znał tego domu, dopiero od kilku godzin w nim bawił, a z Kocią bardzo mało rozmawiał. Jak najsprzeczniesze wyobrażenia snuły się Adolfowi po głowie. Zupełnie źle mu się zrobiło. Wyszedł do ogrodu w nadziei, że wieczorna przechadzka ułagodzi myśli niesforne i niemile przecucia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

K r y t y k a.

Orły z Herburtów i gminna cudowność.

W 70tym Nrze Tygodnika petersburskiego z. r. p. znajduje się rozbiór Igo tomu prac literackich, wydanego przez J. hr. Dunina-Borkowskiego w Wiedniu.

Recenzent M. Gr. wspominając o Orłach z Herburtów powiada, że powiastki tej rozumieć nie podobna. Gdyby powiedział, że jej nierozumie, nie zarzucalbym mu nie-szczerości; ale utrzymując z góry, że żaden z czytelników zrozumieć jej niepotrafi, wydał sąd nieco za śmiały i pośpieszny.

Być może, iż mnie ułatwia tego poetyckiego utworu wyłączenie zamilowanie w przedmiotach podobnej osnowy, a zatem osobne usposobienie duchowe, przez które powołany jestem do jego obrony; może być, że nie tylko M. Gr., ale nawet większej części czytających zabraknie tego uzdolnienia: ale czyż dla tego piszący porzuci swoją naukę? wyrzuci swoje wiadomości? Zaprzęć siebie dla publiczności, poświęcić jej swój sposób myślenia, swoje najmilsze zajęcia, swoje przekonania i stanowisko moralne, zawód do którego czujemy się uzdatnieni i powołani; jest najochydliejszym poehlebstwem. Chciwość tylko lub niedza mogą do niego nakłonić. Nierozumiałość wtedy tylko autorowi słuszenie zarzucić można, gdyby dowieść się dało, że on sam siebie dobrze nierozumiał, lub że przez jakoweś uczzone kuglarstwo wymuszał się do nieprzyrodzonego, niewłaściwego wykładu. Nierozumiałość zaś osobistą podmiotową (*subjectiv*) przebaczymy z żalem jak przyrodzone kalectwo, a nierozumiałość przedmiotowa jest względna, to jest dla tych tylko nierozumiałością, którzy nie dosyć jeszcze umieją. I wtedy pewno wina nie pisarza. Nie straciła przeto na wartości Boska komedya, że już współcześni, uczeni nawet, potrzebowali do jej pojęcia wykładaczy i objaśnień. Nie stracił i Faust na tem, że go wielu nierozumie. W pocie czoła nabywamy każdej prawdy, każdej umiejętności; dochodzimy jej z pracą i mozolą, a tylko umniectwo chcielibyśmy wykluczyć od nauk. Straciła godność swoją poezya, odkąd nawykliśmy igrać z nią jak z lekkim cackiem i nie szukać w niej, nie żądać po niej nic więcej prócz tego, co jak na pięknej twarzy, z wierzchu widzimy. Zapoznaliśmy, że ona jest morzem pełnym zjawisk i ciekawości, którego skarby jednak, zwykle na dnie ukryte rzadki tylko przypadek wyjawia; że nurkiem być trzeba, aby go poznać. Polubiliśmy bajki i poczytaliśmy poezye za zmyślenie. Straciliśmy z ocz święte jej powołanie i wytracili z jej ręki berło długi czas w starożytności piastowane. Opiekunka i nauczycielka, pośredniczka między niebem i ziemią, stała się dla nas aktorką. Jeżeli rozdrażni uczucia, jeżeli zabawi, klaskamy; jeżeli dawne stroje przywdzieje, nazwa ją eudaizką. Z takimi żadaniami, z takim pojęciem czy pojmiemy, że Szyllera Zbójcy, Kabala i miłość, i Don Karlos nie są tylko epizodami jednego i tegoż samego poematu? że w pierwszych dwóch autor oburzony niestusznoscia stosunków towarzyskich i położen społecznych do zaciętej wzywa je walki, niszczy i burzy; w trzeciej zaś spokojniejszy odbudowuje według życzeń swoich na nowo to co powalił? że razem wzięte są obrazem wojny świata istniejącego z przeczulym lub wymarzonem. Gmin widzi w nich tylko osobne całości i postacie, ale prawdziwego znawcę nie uwiedzie pozorna powierzchowność; a wpatrzywszy się bystro w pomysł żywotny dostrzeże go w każdym najskrytszym spojniku i rozpozna w rozlicznościach postaci. Wspomniałem o Dancie z umysłu, ponieważ w jego Boskiej komedyi upatruję pokrewieństwo rodzajowe z Orłami z Herburtów. Jak w tamtej wszystkie przytoczone czy prawdziwe czy zmyśłone zdarzenia, nie są głównym zadaniem tylko cieniami i światłem obrazu przedstawiającego filozofię wieku XIII. (ob. Dante i katolicka filozofia pr. Ozana), tak też i w tych, wzmniejszych ramach uchyla niewidoma ręka nieco zasłony z nad oblicza filozofii ludu naszego. Opowiedziane zda-

zenie jest wcale podrzędnem, jest barwą tylko, jaką autor za najwłaściwszą do obrazu swojego uznał. Jeżeli koloryt nie jest dobrany, jeżeli cienia nie dość wydatne, słusznie to malarzowi naganąć. Zmyślenie mogło być to lub inne, a przecież zamiar byłby osiągnięty, rzecz zostałaby też sama. Głównem zadaniem powieści Orły z Herburtów było rozwinięcie i wypełnienie tej już zciemnionej, chrześcijańskimi pomysłami ciągle zwalczanej, a jednak obok nich w dziwnym połączeniu, pomiędzy ludem naszym utrzymującej się wiary w przechód dusz. Jest to powieść filozoficznego pojęcia, nie zaś ziemskiego zdarzenia; jeżeli to samo pojęcie w nas budzi, już jest zrozumiałą, choćbyśmy z niej nie mieli historii do powtórzenia. Przytaczane w takich powieściach działania służą tylko do wytknięcia, jak obrabiany pomysł, według wyobrażeń ludu, który go wyniańczył, zrastał się z życiem i wpływał na niego. Pomysł przechodu dusz, jedna z głównych podwalin wyznań, przez nas bałwochwalskimi nazwanych, rozkrzewił się i wykończył u starożytnych narodów, szczególnie zaś nad brzegami Gangu (zkaż tyle widów i gołych słów nawet nam się dostało) w zupełną umiętność. Wiedzano tam jakie postacie dusza człowieka po jego śmierci przywdzieje za różne występki lub enoty. (Obacz prawodawstwo Manu.) Im bardziej kto przez ujarzmienie i pogniębienie zmysłów, przez powściągnięcie chuci cielesnych i namiętności wyrabiał siłę moralną, tém widoczniej przechodził w jakowąś istotę duchową, stawał się zwolna duchem, jeszcze za życia ciała. Nagrodą zaś najtrudniejszych poświęceń, najwyższych cnót było przejście duszy bezpośrednio w istotę bożą. Czego nas i filozofia chrześcijańska naucza, tylko że w niej, ten od źródła, z którego przyrodzonym sposobem oderwany i posad swoich pozabawiony pomysł, wisi samotnie, gdyby w powietrzu, jako prawda niedobieżona po stopniach wywodów i wniosków, ale w przyczynach rozumowi ludzkiemu niedostępna — objawiona; jako cudowność.

Porozrywane i rozrzucone szczęty tych olbrzymich gmachów nauki i mądrości starożytnych dostały się różnie w spuściznie narodom europejskim. Nieraz postrzegamy w przesadach i zabobonach, w myślach i filozoficznych widach ludów naszych ten i ów pomysł swojski im miły, a jednak z współczesnego życia i oświaty nie wypływający, zasadom istniejącego wyznania przeciwny, jako odrywek jakowejś odległej obaloniej nauki, nie jasny i samotny, bez innego oparcia, nad przywiązanie i ślepą wiarę przechowujących go ludów. Źródło jego żywotne, wyrozumowana jego przyczyna leży gdzieś daleko oddzielona przestrzeniami miejsc i czasów. Dochodzić jej, nie jestże to wyrozumiewać oświaty ludu naszego? Nie jestże powracać tylu dziwnym, nieraz i potwornym postaciom, przez nieświadomych i jakimś elementem fantastyczności, cudownością gminną nazwanym, ich przyrodzoną przyczyną, a zatem życie i znaczenie, a przyznawać ludowi naszemu, miasto gorączkowej wyuzdanej i bezrozsadnej wyobraźni, spuściznę świetnej naukowej przeszłości? Przeto badanie starożytności azyatyckich jest nam narodową pracą i zasługą; a dla umnika opowiadającego, nie zdarzenia pewnych lat i epok historycznych, ale jakoweś odwieczne pojęcie, dla pisarza tykającego filozofii ludu konieczna powinność. Zaniechalże jej autor Orłów z Herburtów? Od ludu w okolicy Dobromila powziął on tylko nagą, nieczym nieozdobioną ani wytłumaczoną wieść, jakoby Herburtowie, dawni dziedzice i starostowie tamiecznego, dotąd jeszcze w ruinach istniejącego zamku, przemieniali się w orłów. Jakim sposobem to się dziać mogło i dla czego się działo? gmin tego nie wie. Bez przypuszczenia ukrytej gdzieś i już ludowi samemu nieświadomej wiary w przechód dusz, której to podanie jest żywą gałązką: byłoby ono martwym, w samym sobie skończonym, niezdrowej lub swawolnej wyobra-

źni dziwolagiem, najistotniejszą cudownością gminu, bo każdy skutek bez przyrodzonej przyczyny cudem jest. Zasiał tedy autor bliższych wiadomości w źródła pojęcia, które malował, tam gdzie wiarę w przechód dusz zastał jako z pierwiastków wywiedzioną i w szczegółach wyjaśnioną naukę; w narodów minionych, wymarłych, w duchów. Wnet rozpięzła się przed oczyma jego owa nuda elementu fantastyczności, jak słusznie naszą własną nieznajomość przyczyn nazwaby można; poznał że cudowność gminna nie jest przedmiotową, tylko brakiem w nas samych; wadą oka nie obrazu: tak właśnie jak niektóre zjawiska w naturze przedstawiają być cudami wraz z poznaniem własności sił przyrodzonych. Wprowadzenie zatem choru duchów nie jest dowolnym i urojonem, ale koniecznym i rzeczywistym, nie fantastycznością, ale prawdą. Nauczamy się od nich, że przyrodzenie mieszcząc w sobie ciągle jednakowy ogół ducha i ciała, jeżeli jakową postać życia pozbawi, to nim natychmiast inne postacie ożywia; dla tego to w miarę dościgania jaj orlicy, wygasa powoli życie w Herburtach, że się prawie widocznie z niego w gniazdo orle przelewa. A to przejście duszy jego jest karą tym bolesniejszą, że orzeł, zachowując świadomość dawnego bytu bez możności wytłumaczenia jej ludziom, wystawiony jest na pociski i przesładowania własnych dzieci. Lecz jest to tylko wymiarem sprawiedliwości najwyższej; wszakże Herburt w powieści dumie własną córkę poświęcił. A jakkolwiek za życia ludzkiego mógł opływać w bogactwa i wszelkiego rodzaju dostatki, mógł się pozornie wydawać szczęśliwym: nie zrazi to cierpiącej enoty, nie zachwieje wiary w opatrność, widząc zaraz obok przygotowaną mu karę, której początki znosił jeszcze w postaci człowieczeń, przewidując śmierć z ręki najmilszego jedynaka, na którym, z jego winy, cały ród bohaterski i sławne imię zagaśnie. Taka była etyka wiary przechodu dusz; wid przechował się jeszcze, ale nauka obyczajowa nastąpiła inna — chrześcijańska; i tylko niekiedy w głębinach duszy, ledwie że nie instynktowo, wywołana przez pomysł rodzinny odezwie się mętnie, niezrozumiale, jako dalekie echo.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Pan Wacław Hanka wydał obecnie w Pradze w osobnej broszurce swą ważną rozprawę, którą dawniej w czasopiśmie „Muzeum” na r. 1839. z. IV. umieścił był, pod nazwą: Z prawa o Słowanskem ewangelium w Remesli.

W tych dniach wyjdzie trzeci zeszyt „Kitowicza Pamiętników.” Czwarty i ostatni, do którego dodany będzie tytuł, przedmowa i okładka, wyjdzie w przyszłym tygodniu. — Drugi tom Kitowicza zawierać będzie: Zwyczaje i obyczaje polskie za Augusta III.

Księgarnia p. Żupańskiego odebrała wizerunek Kościuszki, zrobiony na wzór wizerunku ze spiżu, przez szanownego Dawida w Paryżu wykonanego. Odciski te zupełnie oryginalowi podobne, zrobione są z tak nazwanego „papier-maché.” Cena 9 Złp.

Z muzykaliów wyda w tym miesiącu w Poznaniu w litografii Deckera i Spółki: Dwa Mazurki A. Woykowskiego, i zeszyt drugi Piosenek polskich tegoż, zawierający: 1) Marzenia; 2) Różę, poezya E. Wasilewskiego i 3) Krakowiak, poezya tegoż.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*